**MIROSŁAW KOCUR**



# RDZENNOŚĆ W XXI WIEKU

## TYBETAŃCZYCY: „RDZENNOŚĆ" JAKO PERFORMANS PRZETRWANIA

Dla większości kultur rdzennych świat był zawsze w transie — była to istota performansów tożsamościowych. „Trans" rozumiany jest tu jako „przejście" czy też „przemiana". Współcześnie przyjmuje on jednak nowe formy i funkcje. Zilustruje to kilkoma case studies. 12 sierpnia 2011 roku przylecieliśmy do Lhasy samolotem z Chengdu w Syczuanie. Samotnych turystów nie wpuszczano do Tybetu. Musieliśmy z żoną wykupić wycieczkę w drogim biurze podróży. Z lotniska odebrał nas lokalny przewodnik, rdzenny Tybetańczyk. Początkowo był zdystansowany i bardzo nieufny. Potem wyjaśnił mi, że chińskie władze uważnie obserwują i często podsłuchują każdego Tybetańczyka.

Wjeżdżając do centrum miasta przeżywam szok. Nowe osiedla dla napływających tu każdego dnia Chińczyków i szerokie ulice obwieszone reklamami globalnych firm duszą w śmiertelnym uścisku niewielką starówkę w centrum Lhasy. Atakują mnie zewsząd potężne reklamy globalnych firm. Po drodze mijamy wielu ubogich pielgrzymów. Idą pieszo do świątyni Dżokang — „katedry" Tybetu. Tu wciąż bije serce miasta.

Po zameldowaniu w hotelu, rzucamy się wygłodniali na przepyszne pierogi — tybetański smakołyk. Potem biegniemy na plac przed Dżokangiem. Kamienny bruk, wypolerowany milionami pokłonów, błyszczy w słońcu. Tych pokłonów należy wykonać aż sto osiem, bo tyle awatarów, czyli wcieleń, ma Awalokiteśwara, bodhisattwa współczucia, opiekun Tybetu. Jego wcieleniami są też najważniejsi lamowie, na czele z Dalajlamą. Do pełnego pokłonu trzeba się położyć na placu i wyciągnąć ręce przed siebie w modlitewnym geście. Niektórzy padają na gołą posadzkę. Najczęściej jednak pielgrzymi rozkładają przed sobą wąskie materace, a dłonie chronią skórzanymi nakładkami. Kobiety dodatkowo przewiązują spódnice sznurkiem pod kolanami. Chińscy żołnierze w pełnym uzbrojeniu obserwują wszystkich z pewnego dystansu.

Tybetański buddyzm współodczuwania jest niezwykły. Sędziwa Tybetanka wyznaje mi, że składa pokłony także w intencji uzbrojonych Chińczyków, którzy mierzą w nią karabinami. Przecież to bardzo młodzi chłopcy. Może nawet nie wiedzą co czynią. Radzi mi spróbować — pokłony oczyszczają. Kładę się na wyślizganych kamieniach. Wyciągam dłonie daleko przed siebie. Rzeczywiście — po kilku pokłonach mój umysł się uspokaja. Chaotyczne myśli gdzieś się rozwiewają, nie czuję jednak współczucia do Chińczyków z bronią.

Wokół Dżokangu wciąż wędrują pielgrzymi. Okrążanie świętego miejsca mocy to praktyka modlitewna, równie ważna, co pokłony. Idzie się szybkim, zdecydowanym krokiem. Niektórzy kręcą przed sobą modlitewnymi młynkami. Ktoś rozmawia przez komórkę. Ktoś mamrocze pod nosem mantry. Każdy odpowiada uśmiechem na moje spojrzenie. Towarzyszą nam, czwórkami, chińscy żołnierze z ostrą bronią. Podejrzliwie zerkają na mój plecak. Po bokach mijamy stragany chińskich kupców. Zerkają na nas groźnie spod oka. Tybetańczycy nie mogą tu handlować. Chińskie władze nie wydają im pozwoleń.

Z boku świątyni Dżokang przez cały dzień stoją w kolejce wierni z termosami. Przynieśli Buddzie masło na ofiarę. Niektórzy, bardzo ubogo ubrani, ściskają w dłoniach niewielkie płatki złota. To dorobek ich życia. Przybyli z odległych zakątków płaskowyżu. Wędrowali tu tygodniami, wykonując po drodze tysiące rytualnych pokłonów. Wewnątrz świątyni złożą te płatki przed złotym posągiem *Jowo Rinpoche*, Buddy Siakjamuniego w wieku lat dwunastu.

Dziś nikt nie jest pewien czy ten złoty i święty posąg jest rzeczywiście ze złota. Oryginalną figurę przywiozła do Lhasy księżniczka Wencheng z chińskiej dynastii Tang w roku 641. Była jedną z dwóch żon wielkiego króla Songtsena Gampo, twórcy potężnego imperium tybetańskiego. Po „pokojowym wyzwoleniu Tybetu" w roku 1951 chińscy komuniści wywieźli posąg, a świątynię zamienili w kino. Potem posąg zwrócili, ale nie ma pewności, czy jest to ten sam obiekt.

Turyści nie muszą czekać w kolejce. Możemy wejść do świątyni osobnym wejściem. Przed posągiem *Jowo Rinpoche* kłębi się niewielki tłum pielgrzymów. Buddyjski mnich sprawnie odbiera od każdej osoby płatki złota. Wierni kłaniają się przed posągiem. Szepczą modlitwy. Inny mnich siedzi z boku za olbrzymim stołem. Przed nim znajduje się wielki gong. Za opłatą mnich uderza patyczkiem w gong i szybko mamrocze serie błogosławieństw.

Przyznam, że z mieszanymi uczuciami patrzę na te performansy. Pielgrzymi sprawiają wrażenie osób skrajnie ubogich. Ich ciała są wychudzone, na twarzach mają niezdrowe rumieńce. Cenne ofiary i pieniądze odbierają od nich korpulentni mnisi. Ci z kolei wyglądają na dobrze odżywionych, ich cera jest zdrowa. Jestem tu tylko turystą. Czy mam prawo oceniać tybetańskie performanse tożsamościowe? Są to przecież równocześnie performanse przetrwania narodu pozbawionego własnego państwa i poddawanego pełzającej zagładzie. Kilka dni po powrocie do Wrocławia czytam w Internecie, że kolejny mnich tybetański dokonał samospalenia w proteście przeciw chińskiej okupacji.

## HADZA: „RDZENNOŚĆ" JAKO ŹRÓDŁO WIEDZY

9 lutego 2013 roku o świcie zwijamy namiot i ruszamy na spotkanie z ludem Hadza. To nomadzi, jedni z ostatnich łowców-zbieraczy. Żyją wokół jeziora Eyasi na północy Tanzanii. Lokal-

ny przewodnik czeka już na nas w jeepie. Pół godziny trzęsiemy się po bezdrożach. Drogi są tu w kiepskim stanie, bo każdego roku zalewa je i wypłukuje woda. Parkujemy przy potężnych baobabach. Ostrożnie zanurzamy się w busz za przewodnikiem. Po kwadransie dostrzegam kilku mężczyzn, którzy siedzą w kucki na polance pod krzakami. Po lewej stronie, za drzewem, pod innym krzakiem przysiadły trzy kobiety z dziećmi. Przed nimi płonie niewielkie ognisko. Z uwagą spogląda na mnie mały chłopiec. Kobiety spuściły wzrok. Ogarnia mnie wielki smutek. Kobiety siedzą na ziemi z wyprostowanymi nogami. Nie poruszają się, milczą, jakby życie z nich całkiem uleciało, ale może to tylko moje błędne wrażenie.

Po krótkim powitaniu z mężczyznami i wstępnych negocjacjach dwaj najstarsi w tym gronie panowie polecają czterem chłopcom wziąć nas na polowanie. Młodzi łowcy sprawnie przygotowują łuki i strzały. Nie wykonują żadnych zbędnych ruchów. Bez słów pokazują sobie nawzajem strzały. Lekkie skinięcie głowy oznacza akceptację. Ruszamy na łowy. Czterej myśliwi formują szereg i polecają nam dołączyć w tyle. Idą szybko i pewnie, ledwo mogę nadążyć. Kiedy tu dotarliśmy o poranku, było bardzo chłodno. Wziąłem ze sobą gruby *softshell*. Z mojej szyi zwisa lustrzanka z ciężkim obiektywem. Chłopcy mają na stopach prymitywne sandały, a ja mam buciory. Z każdym krokiem wydają się cięższe. Robi się coraz cieplej. To w końcu Afryka.

Po chwili chłopcy znikają w gąszczu. Komunikują się melodyjnym gwizdaniem. Biegnę za łowcą, który płynnie wsunął się pod najbliższy krzak. Próbuję powtórzyć jego manewr, jednak z marnym skutkiem. Zawisam na ostrych kolcach. Żona musi mnie z tego krzaka wyplątać, bo sam bym się nie uwolnił. Na nasze szczęście łowcy dostrzegli ofiarę, bo nagle zwolnili. To mały ptaszek. Właśnie spada na ziemię precyzyjnie trafiony strzałą. Chłopcy siadają w kucki przy niewielkim krzaku i szybko rozpalają ognisko. Rozluźniają się, zaczynają swobodnie rozmawiać. Sporo żartują. Pozwalają mi filmować siebie komórką. Z uwagą wsłuchuję się w muzykę ich rozmowy.

Język hadza jest wyjątkowy. Nie łączą go bliskie pokrewieństwa z żadnym znanym językiem. Brzmi jak nowoczesny śpiew, bo to język toniczny i mlaskowy. Żeby poprawnie wypowiedzieć zdanie, trzeba je odpowiednio „wyśpiewać", mlaskając i klikając językiem o podniebienie. Posługiwanie się językiem mlaskowym wymaga dużych kompetencji muzycznych. Wiem to z doświadczenia, bo na próżno próbowałem wypowiedzieć poprawnie kilka prostych zdań.

Polowanie trwało około godziny. Młodzi łowcy zachwycili mnie głęboką znajomością przyrody. Pokazali mi naturalne ule wysoko na drzewach. Dziki miód to dla nich ważne źródło pożywienia. Smakuje zdecydowanie inaczej niż polskie miody. Głównym pokarmem łowców są jednak rośliny i bulwy wykopywane przez kobiety. Ludy pasterskie, jak agresywni Masajowie, wytrzebiły i wypłoszyły zwierzęta z buszu wokół jeziora Eyasin. Łowcom Hadza rzadko udaje się upolować

porządny posiłek. Najczęściej wracają do obozu wyłącznie z miodem. Hadza są jednak wybitnymi tropicielami, co mogłem zobaczyć na własne oczy. Louis Liebenberg z Uniwersytetu Harvarda w książce *The Art of Tracking. The Origin of Science* (1999) dowodzi, że sztuka tropienia to źródło nauki.

Kobiety i mężczyźni ludu Hadza wydali mi się bardzo piękni. Wszyscy byli szczupli, sprawni fizycznie i raczej zdrowi. Przewodnik powiedział mi potem, że od dawna współpracuje z harvardzkimi antropologami i biologami. Antropolog Frank Marlowe przez cztery lata zbierał tu materiały do wysoko cenionej monografii *The Hadza. Hunter-Gatherers of Tanzania* (2010). W ostatnich latach Amerykanie najwięcej uwagi poświęcają analizowaniu mikrobiomu ludu Hadza. 15 kwietnia 2014 roku na łamach prestiżowego pisma „Nature" ukazał się artykuł pt. *Gut microbiome of the Hadza hunter-gatherers* (Schnorr et al., 2014). Międzynarodowy zespół badaczy, wśród nich także Frank Marlowe, wykazał, że unikalny mikrobiom łowców-zbieraczy Hadza jest bogatszy i biologicznie bardziej różnorodny od mikrobiomu dzisiejszych mieszkańców włoskich miast. W jelitach Hadza zidentyfikowano wiele nieznanych wcześniej mikroorganizmów, w tym bakterii. W roku 2017 grupa innych badaczy przeanalizowała ponad trzysta pięćdziesiąt próbek kału Hadza. Zaskakujące wnioski z badań zostały opublikowane w artykule *Seasonal Cycling in the Gut Microbiome of the Hadza Hunter-Gatherers of Tanzania* (Smits et al. , 2017). Okazało się, że pory roku mają duży wpływ na zmiany w mikrobiomie Hadza.

Prosta dieta, oparta na nieprocesowanym pożywieniu, uznana została za główne źródło odporności i unikalnego mikrobiomu nomadów Hadza. Przewodnik z lekkim przekąsem zażartował, że przy każdym Hadza czyha choć jeden doktorant, żeby zebrać do plastikowego pojemnika odchody. Naukowcy wierzą, że w jelitach Hadza odkryją lekarstwo na nieuleczalne choroby zachodniej cywilizacji.

## BALI AGA: „RDZENNOŚĆ" JAKO PLAN BIZNESOWY

Po wielu dniach negocjacji, 19 sierpnia 2013 roku, udaje nam się wreszcie znaleźć balijskiego kierowcę, który nie boi się zawieźć nas do Bali Aga. To rdzenni mieszkańcy Bali sprzed najazdu na wsypę hinduskiej arystokracji, która pięć wieków temu przybyła tu z Jawy, uciekając przed islamską nawałnicą. Naczytałem się sporo o archaicznych zwyczajach wciąż kultywowanych we wsi Trunyan nad jeziorem Danau Batur w samym środku wyspy. Autorzy przewodnika Lonely Planet twierdzili, że nie da się tam dojechać autem i trzeba wynająć łódź po drugiej stronie jeziora.

W Trunyan ludzie do dziś używają własnego, starego języka, choć mówią też po balijsku, a ostatnio coraz częściej również po angielsku. Z Lonely Planet dowiedziałem się, że przetrwała tam do dziś unikalna tradycja pochówkowa. Przed masową emigracją hinduskich elit z Jawy Balij-

czycy po prostu porzucali zwłoki osób zmarłych. Hindusi, wraz z koncepcją inkarnacji, wprowadzili na wyspę powszechny zwyczaj kremacji. W Trunyan kremacja się jednak nie przyjęła. Zwłoki układane są wciąż w otwartych dołach pod gołym niebem.

Marketingowcy Lonely Planet znakomicie opanowali techniki sprzedaży. Po fascynujących opisach intrygujących zwyczajów pogrzebowych przeczytałem, że mieszkańcy Trunyan nie lubią turystów i często ich biją. Szczególnie wtedy, kiedy turyści odmawiają wpłaceniu porządnego datku charytatywnego. Takie informacje oczywiście rozpaliły moją ciekawość. Przez kilka dni próbowałem znaleźć kierowcę, który mnie zawiezie nad jezioro Danau Batur i pomoże przeprawić się na drugi brzeg do Trunyan. Wszyscy odmawiali. Miałem wrażenie, że Bali Aga wywołują u Balijczyków jakiś irracjonalny lęk.

W Sanur udało mi się wreszcie przekonać młodego chłopaka, który niewiele słyszał o Trunyan, więc się nie bał. O świcie wyruszyliśmy krętymi drogami nad jezioro. Na brzegu kilka prostych łodzi oczekiwało na klientów. Rozpoczęliśmy negocjacje. Przewoźnicy podawali zawrotne ceny. Odegraliśmy z żoną teatr o biednych Polakach z dalekiego kraju. Opowiedzieliśmy o trudach życia w PRL-u. Na dowód pokazaliśmy zniszczone portfele z niewielką ilością banknotów. Ubraliśmy się na tę wyprawę skromnie, byliśmy wiarygodni. W rezultacie udało się nam zbić cenę o połowę.

Po godzinie dotarliśmy na cmentarz w pobliżu Trunyan. Od razu poczułem silny zapach drzew kadzidłowych. W takim lesie zwłoki mogą się rozkładać pod gołym niebem — nic nie czuć. Na brzegu czekało już na nas sześciu mężczyzn. Po krótkiej wymianie uprzejmości ruszyliśmy na cmentarz. W kamiennej bramie powitały nas dwie ludzkie czaszki. Jedna miała wetkniętego pomiędzy szczęki papierosa. Upiorny żart, pewnie na naszą cześć, żeby nas lekko przerazić i ułatwić późniejsze negocjacje.

Przed olbrzymim, kamiennym stołem z równo ułożonymi czaszkami najstarszy mężczyzna przemówił do nas po balijsku. Kierowca tłumaczył. Mężczyzna dziękował nam za przybycie i oznajmił, że zgodnie z tradycją, zanim odwiedzimy cmentarz, powinniśmy złożyć pieniężną ofiarę na małym ołtarzu. Leżały tam już dwa banknoty studolarowe, co miało zapewne sugerować nam wysokość datku. Byliśmy tu jedynymi turystami.

Lonely Planet przygotowało nas na tę okoliczność. Wyciągnęliśmy oboje z żoną portfele (tym razem puste) i odegraliśmy histeryczny teatr o biednych Polakach okradzionych przez złych ludzi. Przestraszeni opowieściami o biciu turystów, z desperacją i prawdziwymi łzami w oczach wcielaliśmy się w nasze nowe role. Mężczyźni chyba nam uwierzyli, bo przestali domagać się pieniędzy i zaczęli nas nawet pocieszać. W końcu oznajmili nam, że mamy szczęście, bo będziemy mogli zobaczyć świeży pochówek. Kilka dni temu złożono tu ciało starej kobiety.

Miejsca pochówku, czyli dziury w ziemi zapełnione bezgłowymi zwłokami, sprawiły na mnie koszmarne wrażenie. Każdy dół przykryty był swoistym daszkiem z uschniętych łodyg, a ciała zmarłych były zawinięte w plastikowe torby z supermarketu. Jeden z mężczyzn wyjaśnił mi, że to ma chronić ciała przed zwierzętami. Rzeczywiście wokół trupów w plastikowych workach uwijały się szczury i chyba inne gryzonie. Wokół walały się rozbite naczynia gliniane, z których zapewne lano płynne ofiary podczas składania zwłok do dołu. Świeże zwłoki rzeczywiście różniły się od pozostałych. Rozpoznałem fragmenty ciała. Dół, w którym kobietę złożono, był zapełniony, bo jej martwe ciało wznosiło się lekko ponad poziom ziemi.

Wracając do łodzi zauważyłem we wsi samochód. Spytałem mężczyzn, czy można do Trunyan dojechać autem. Oczywiście, że można, ale o tym turyści nie powinni wiedzieć. Mieszkańcy Trunyan ze swojej unikalnej rdzenności stworzyli świetny plan biznesowy. Każdy zarabiał — począwszy od właścicieli łodzi po opiekunów cmentarza. Dopiero teraz zauważyłem na brzegu dumny napis WELLCOME TO KUBURAN DESA TERUNYAN (Witajcie na cmentarzu wsi Trunyan).

Kiedy wsiadaliśmy do łodzi, podeszła do nas para bardzo sędziwych żebraków. Z uśmiechem domagali się wsparcia. Rzecz wyjątkowa na wyspie. Podczas drogi powrotnej nasz młody kierowca promieniał. Miał już gotowy plan biznesowy na najbliższą przyszłość. Najpierw wystraszy turystów, żeby rozpalić ich ciekawość, a potem za duże pieniądze zawiezie ich do „groźnych" Bali Aga. Umówił się już nawet z mężczyzną, który nas oprowadzał po cmentarzu. Zamierzają wspólnie organizować rdzenny teatr śmierci dla turystów.

## BALIJCZYCY: „RDZENNOŚĆ" JAKO SZTUKA UZDRAWIANIA

26 sierpnia 2013 roku stawiam się punktualnie na spotkanie. Putu, nasz kierowca, bezbłędnie orientuje się w balijskich bezdrożach. Balian Cokorda Rai już na mnie czeka. Putu znalazł jego adres w Internecie, dzięki swoim bogatym kontaktom facebookowym. Cokorda Rai to sławny na Bali uzdrowiciel, czyli po balijsku „balian". Imię „Cokorda" sugeruje wysokie urodzenie. Jego ród należy do warny *kszatrija*, czyli starohinduskiej klasy wojowników, władców i rządców. Mieszka na obrzeżach miasta Singapadu w prowincji Gianyar. Nic mi nie jest. Proszę tylko o diagnozę.

Balian jest wysoki i szczupły. Ma piękną twarz. Zapewne przekroczył już siedemdziesiątkę, ale trzyma się świetnie. Przyjmuje mnie w niewielkiej świątyni otwartej na ogród. Znajduje się tu tylko niskie, kamienne łoże pokryte niebieską matą. Uzdrowiciel poleca mi usiąść na kamiennej podłodze z wyprostowanymi nogami. On sam siada na stołku za moim plecami. Najpierw uciska moje spięte barki. Pyta, czy boli. Nie boli. To dobrze. Potem naciska różne miejsca na mojej głowie, łącznie z twarzą. Teraz czuję przenikliwy ból. W tyle mojej głowy, u nasady czaszki balian

znajduje dwa miejsca „z problemem". Nie mam zresztą co do tego żadnych wątpliwości. Tam właśnie czuję ból. Cokorda Rai wyjaśnia, że to połączenie z umysłem. Boli, bo za dużo myślę.

Następnie balian każe mi położyć się na kamiennym łożu. Podnosi ze stolika drewniany patyczek, klęka z boku i rysuje tym patyczkiem na moim czole geometryczne figury, najczęściej krzyżyki. Potem większe kształty zakreśla na mojej klatce piersiowej i brzuchu. Podobnie wzdłuż obu nóg. Na filmie, który nakręciła moja żona, wygląda to tak, jakby oblekał moje ciało niewidzialną siecią. Jego ruchy są bardzo szybkie, wręcz rutynowe. Coraz częściej oprócz krzyżyków rysuje po mnie długie kreski. Wreszcie uzdrowiciel podnosi się i staje w moich nogach. Bose stopy opiera mi na piętach. Teraz zakreśla magiczne figury w powietrzu. Znowu kuca. Dotyka patyczkiem dużego palca mojej lewej nogi. Ponownie czuję przenikliwy ból. Uzdrowiciel powtarza:

— Za dużo myślenia!

— Mam nie myśleć…

— Nie! — przerywa mi stanowczo balian — Myśl! Ale nie za dużo. Brak myślenia to śmierć. Twój umysł jest oddzielony od ciała. To trzeba na nowo połączyć.

Kościsty starzec dotyka mnie delikatnie patyczkiem w wybranych punktach na ciele. Wyjaśnia, że przeczyszcza moje kanały energetyczne. Kiedy przytyka kijek do środka mojej głowy, przenika mnie spazmatyczny ból. Wtedy wrzeszczę. Ustalamy, że nie będę za dużo myślał. Starzec harmonizuje moją energetyczną aurę. Zamykam oczy. Czuję patyczek na udach. Teraz na stopach. Uzdrowiciel powraca do magicznych gestów w powietrzu. Recytuje też cicho sanskryckie wyrazy. Balian Cokorda Rai jest wyjątkowy, bo korzysta z akupunktury. Większość balianów czerpie wiedzę medyczną ze starych tekstów, zachowanych na rękopisach z liści drzewa palmowego (po balijsku *lontar*). Takim balianem jest sławny Ketut Liyer, sportretowany przez amerykańską dziennikarkę Elizabeth Gilbert w autobiograficznej powieści *Jedz, módl się, kochaj*(2019). W filmowej adaptacji dziennikarkę zagrała Julia Roberts, a Ketuta sam Ketut.

Balian sam nie leczy — jest narzędziem sił wyższych. Tylko potężne duchy i bogowie mają dostęp do mocy uzdrawiania. Powołują oni też niekiedy balianów do trudnej służby. Takie powołania rzadko bywają przyjemne. Łączą się z niewyjaśnionym wypadkiem, ciężką chorobą, opętaniem. Służba jest trudna, bo balian nie może nikomu odmówić pomocy, nawet turyście. Sam nie ma ani mocy sprawczej, ani decyzyjnej.

Po trzydziestu minutach moje energie są zbalansowane. Cokorda Rai wstaje, oczyszcza się z moich toksyn przed domową kapliczką, przez chwilę przewierca mnie wzrokiem, a na koniec daje mi terapeutyczne zadanie domowe. Każdego ranka mam patrzeć na swoją twarz w lustrze, uśmiechnąć się do siebie, wziąć ten uśmiech w dwa palce i go połknąć.

Nazajutrz rano doświadczam szoku. Stoję w łazience przed lustrem i nie potrafię uśmiechnąć się do siebie. Potrafię co najwyżej wykrzywić twarz w dość przerażający grymas. Odczuwam coraz większy lęk. Ogarnia mnie panika. Nagle zdaję sobie sprawę, że to strach przed intymnością. Od dziecka odczuwałem paniczną grozę przed zbliżeniem się do drugiego człowieka. Skąd ten balijski praktyk akupunktury mógł to wiedzieć? Dopiero po kwadransie udaje mi się pokonać lęki. Śmieję się do siebie w lustrze, może nieco zbyt histerycznie, ale chwytam ten swój uśmiech w dwa palce, połykam i natychmiast wychodzę z łazienki. Powtarzam to doświadczenie każdego ranka. Idzie mi coraz łatwiej.

To znamienne, że choć pojechałem na Bali studiować sławne sztuki performatywne i (napisałem nawet na ten temat potem kilka artykułów i rozdziałów w książkach), to dziś najbardziej pamiętam spotkanie z balianem Cokordą Rai.

### ANTAMBAHOAKA: „RDZENNOŚĆ" JAKO *FADY*

Po południu 19 sierpnia 2015 roku cumujemy naszą motorową łódź przy niewielkiej wiosce Ambohitsara, w rejonie Manakara. Mieszka tu lud Antambahoaka — najmniejsza grupa etniczna na Madagaskarze. Jej populację szacuje się na 50 000. Siedem tysięcy osób mieszka w Ambohitsarze. Mężczyźni po inicjacji otrzymują zaszczytne miano Zafiraminia — potomków Ramini, czyli islamskich osadników, którzy zawędrowali na wyspę w XIII wieku prawdopodobnie z Sumatry.

Od świtu płynę z żoną na północ rzeką Fanantara wzdłuż wschodniego brzegu Madagaskaru. Ambohitsara to pierwsza na naszej trasie wioska, do której można dotrzeć wyłącznie rzeką. Lokalne władze miały kiedyś ambitne plany doprowadzenia do wsi drogi i rozpoczęto już nawet wstępne prace. Do dziś można podziwiać betonowy znak drogowy, który sterczy z piasku na zboczu małego wzgórza. W błękitnym trójkącie kobieta z dzieckiem na plecach i tobołkiem na głowie wskazuje drogę donikąd.

Wszystkie domy we wsi są podobne. Drewniane, plecione ściany wieńczy strzecha z liści palmy *ravinala* — endemicznego dla wyspy „drzewa podróżnika". Podłogi wznoszą się niekiedy nawet pół metra ponad poziom ziemi, bo teren często bywa zalewany. Wnętrza domów są proste. W niektórych nie ma żadnych mebli poza matami do spania i metalowymi naczyniami. W innych stoją łóżka i krzesła. Na podłodze leżą wiklinowe kosze. Z sufitu zwisają wory i fragmenty barwnych ubrań. W jednym domu zobaczyłem kolorowy dywan, sofę i prosty tapczanik. Nawet tam nie było jednak żadnych dekoracji na ścianach.

Cała wieś została wzniesiona na piaszczystej ziemi. Niemal wszyscy chodzą tu boso. Większość mężczyzn i młodych kobiet ma na sobie krótkie spodenki i mocno sprane t-shirty. Dostrzegam też kilka starszych pań w sukniach. Przed domami wiszą sznury z praniem. Drewniany

płot otacza całą wieś. Nad jedną ze strzech wznosi się talerz z napisem CANAL+. W domach nie ma jednak ani prądu, ani dostępu do bieżącej wody.

Lud Antambahoaka przestrzega surowo unikalnego zakazu: zabronione jest bezwzględnie posiadanie i wychowywanie bliźniąt. Podobno mogą sprowadzić na całą wspólnotę nieszczęścia. Kiedyś takie dzieci lokalny czarownik dusił natychmiast po urodzeniu. Potem porzucano je w buszu. Dziś bliźnięta nie są duszone, ale w najważniejszych świętach wciąż nie mogą uczestniczyć.

Na całym Madagaskarze obowiązuje unikalny, performatywny system zakazów. Tu wszystko może być *fady* — nie tylko bliźniaki, ale także pokarm, zachowanie, przedmiot, budynek, zwierzę czy gest. Każda grupa etniczna wykształciła własny zbiór performatywnych zakazów, definiując tym samym własną tożsamość. Żeby *fady* mogło działać, trzeba je oczywiście aktywować. Ale to proste — wystarczy poinformować nieświadomą osobę o istnieniu zakazu. Od tej chwili naruszenie *fady* sprowadza nieszczęście. Słowo mówione to performatyw — może przemienić nawet najbardziej niewinną czynność, jak narodziny bliźniąt, w zachowanie zakazane. Wędrując po Madagaskarze natknąłem się na dziesiątki *fady* o bardzo różnym stopniu rażenia. Na plaży wyspy Sainte Marie jakiś chłopiec zabronił mi nawet wchodzić w butach na skałę miotaną morskimi falami. To *fady*, ostrzegł mnie lojalnie. Grzecznie zdjąłem sandały.

Nie czuję się komfortowo w roli podglądacza mieszkańców Ambohitsary, choć kilka osób reaguje na mój widok uśmiechem. Zapraszają mnie do wnętrza swoich mieszkań. Pozują do fotografii. Dziewczyny z dumą demonstrują mi maluchy, które dźwigają w kolorowych chustach na plecach. Inni zerkają z ciekawością na mój ubiór. Wiele osób rzuca jednak w moim kierunku wrogie spojrzenia. Dla nich na pewno jestem *fady*. Przed chwilą nie mieli pojęcie o moim istnieniu, ale swoim nagłym pojawieniem wyperformowałem nowe *fady* — zakaz zbliżania się do turysty. W wiosce Ambohitsara nie udało mi się nawiązać bliskiej relacji choćby z jedną osobą. *Fady*!

## ASMACI: „RDZENNOŚĆ" JAKO PRODUKT NA SPRZEDAŻ

Po południu 1 listopada 2022 roku dopływamy do połączonych wiosek Uwus i Bou. Jest nas troje — reprezentujemy Inkubator Doskonałości Naukowej przy Uniwersytecie Wrocławskim. Odbywamy wyprawę badawczą do krainy Asmatów po wschodniej, indonezyjskiej stronie Nowej Gwinei. Piotr Sorokowski, psycholog ewolucyjny, kontynuuje badania nad sztuką plemienną. Agnieszka Żelaźniewicz jest biolożką i bada zachowania kobiet. Ja studiuję performansy kulturowe. Naszym przewodnikiem jest Izaak, rodowity Papuas. Łodzią kieruje Charon, rodowity Asmata.

Na pomoście wygląda nas kilku mężczyzn. Zostawiamy plecaki w łodzi. Charon tu na nas zaczeka. Ruszamy na spotkanie ze starszyzną i wodzem w długim domu mężczyzn. Izaak ma nadzieję wynegocjować dla nas pokaz tańca sławnej maski *jipae*.

Pomosty stanowią tu jedyne ulice, jak niemal na całym obszarze kraju Asmatów. To największe mokradła aluwialne w świecie. Po tym terenie można się poruszać wyłącznie łodziami. Z Oceanu łatwo tu dotrzeć szeroką rzeką, ale Charon wiódł nas tajemniczymi skrótami przez dżunglę. W kilku miejscach musiał wycinać przejście maczetą.

W długim domu czeka już na nas około trzydziestu mężczyzn. Wszyscy są w krótkich spodenkach i kolorowych t-shirtach, niektórzy mają na głowach bejsbolówki. Większość siedzi na rattanowej podłodze. Patrzą na nas bez entuzjazmu. Nie przypominamy zamożnych turystów z Australii czy Stanów Zjednoczonych. Izaak informuje wodza, że chcemy zobaczyć taniec *jipae*. Wódz wyjaśnia sprawę pozostałym. Izaak pochodzi z ludu Dani i mówi nieco innym językiem.

Po chwili wódz ma dla nas dobrą wiadomość. Pokażą nam obrzęd za dziesięć milionów indonezyjskich rupii, czyli niecałe trzy tysiące złotych. Tyle kosztuje tu „rdzenność". Drogo. Wódz wyjaśnia, że za taką cenę zobaczymy aż stu wojowników. Izaak tłumaczy z kolei wodzowi, że nas interesuje głównie tancerz w masce, a nie wojownicy. Po krótkiej, burzliwej naradzie wódz ma dla nas nową propozycję. Pięćdziesięciu wojowników za pół ceny. Izaak zgadza się, ale mężczyźni są ewidentnie rozczarowani naszym zachowaniem. Bez entuzjazmu wychodzą, żeby się przebrać i pomalować twarze.

Pół godziny później na klepisku za długim domem zjawia się pierwszy muzyk. Ostrożnie stawia kroki w błocie. Trwa odpływ, ale słońce nie zdążyło dobrze wysuszyć terenu. Muzyk jest bosy, ma na sobie tylko czarne spodenki. Szyję przystroił koralikami, a na głowie ma czapkę ze skóry obwieszoną paciorkami, z której boków sterczą pióra. W dłoni trzyma bębenek w kształcie klepsydry.

Maska pojawia się nagle na pomoście przed długim domem i zakrywa całe ciało tancerza. Jej główną część stanowi stożkowaty kosz wypleciony z rattanu. Ma około metra wysokości. Nakłada się go na głowę i ramiona. Z kosza zwisają do samej ziemi wysuszone liście palmy sagowej. Widać tylko stopy performera. Jego taniec sprowadza się w zasadzie do rytmicznych obrotów w prawo i lewo. Maska tanecznym krokiem wiedzie korowód półnagich wojowników. Każdy inaczej pomazał białą farbą twarz i korpus. Kliku przykryło sportowe spodenki spódniczkami z liści. Ale nie wszystkim się chciało. Niektórzy mają na głowach pióropusze. Ci wydają groźne pomruki. Korowód podąża pomostami na tyły długiego domu. Tam skaczą na błotne klepisko.

Muzycy intonują pieśń. Wojownicy tańczą i niekiedy śpiewają. Maska pośrodku wykonuje dynamiczne półobroty. Nie wszyscy jednak angażują się w performans. Kilku wojowników nawet nie markuje ruchów ustami. Nie tańczą. Wydają się lekko znudzeni. Coś szepcą między sobą, chyba żartują. Tylko jeden młody mężczyzna z boku wykonuje popisową choreografię, godną

największych mistrzów tańca współczesnego. Szybko jednak kończy. Jakby chciał pokazać, co moglibyśmy dostać za porządne pieniądze. Cały obrzęd trwa pół godziny.

Wojownicy szybko przechodzą do długiego domu. Tam odbędzie się publiczne wypłacanie należności za występ. Wszyscy z uwagą będą śledzili dłonie Izaaka liczącego pieniądze. Mnie tymczasem atakuje Kastan, tancerz w masce. Jest mocno spocony. Proponuje mi nałożenie maski. Odmawiam w popłochu. Izaak ostro mnie przeraził opowieściami o magicznych mocach maski *jipae*. Podobno nie wolno jej dotykać. Może zabić. Kastan nie rezygnuje. Teraz oferuje mi zakup maski po specjalnej, obniżonej cenie. Z przykrością muszę odmówić. Bez kontenera nie przewiózłbym jej do Polski. A na to mnie nie stać. Kastan błyskawicznie traci zainteresowanie moją osobą i pędzi po stopniach do długiego domu, żeby śledzić wypłatę pieniędzy.

Po dopięciu transakcji Izaak szeptem poleca nam szybko wracać do łodzi. Mężczyźni, wściekli na lichy zarobek, odmówili nam noclegu. Trudno się im zresztą dziwić. Od lat przyjeżdżają tu bogaci turyści i porządnie płacą za „rdzenność". Czmychamy w popłochu. Dopiero na łodzi Izaak się rozluźnia. Wyznaje nam, że kilku facetów chciało nas pobić. Nie potrafiliśmy docenić ich „rdzennego" produktu — poczuli się obrażeni.

## HIPOTEZA PERFORMATYWNEJ RDZENNOŚCI

Emily T. Yeh, amerykańska uczona chińskiego pochodzenia, w monografii *Taming Tibet. Landscape Transformation and the Gift of Chinese Development* (2013) szczegółowo analizuje strategie chińskiego rządu w zakresie kolonizowaniu Tybetańczyków przez transformacje ich naturalnego środowiska. Kultura przenika się tu z naturą, a ideologia staje się elementem przyrody. Przykładem jest gwałtowna urbanizacja Lhasy. Na początku trzeciej części książki Yeh prezentuje instalację tybetańskiego artysty Benpa Chungdak *Michael Jackson islike Lhasa* (2004). Lhasa to transgresyjny performans tożsamościowy. Obecność chińskich żołnierzy przed Dżokangiem radykalnie zmienia okoliczności odprawiania buddyjskich praktyk liturgicznych. Rutynowe pokłony czy wędrówki stają się performansami przetrwania.

Kolumbijski uczony, Daniel Ruis-Serna, w książce *When Forests Run Amok. War and Its Afterlives in Indigenous and Afro-Colombian Territories* (2023) przenikliwie uchwycił kulturotwórczą moc przemocy wpisanej w pejzaż. Symboliczna obecność przemocy w postaci uzbrojonego wojska w świętym miejscu modyfikuje obrzęd i redefiniuje tożsamość. Ruis-Serna dowodzi, że ludy rdzenne Ameryki Południowej zachowały unikalną wiedzę o człowieku i przyrodzie. W innym miejscu świata codzienne, rutynowe czynności ludu Hadza przemieniają się w laboratoria współczesnej medycyny i biologii. Rdzenność tego ludu postrzegana jest coraz częściej jako źródło unikalnej wiedzy o człowieku. Badania terenowe w społeczności łowców-zbieraczy są jednak

skomplikowanym przedsięwzięciem etycznym i logistycznym. Norweskie badaczki Monika AbelsiVelinaNinkovakompetentnieomówiłytrudnewyzwaniadlanaukowców w artykule *Conducting Fieldwork with San and Hadza (Post-) Hunter-Gatherer Communities in Africa: Regulatory and Ethical Issues* (2023).

Bali ujawnia jeszcze inne wymiary rdzenności. Tradycyjni Bali Aga przemienili rdzenność w unikalny plan biznesowy oferujący teatr śmierci dla turystów. Z kolei hinduscy Balijczycy uczynili z rdzenności terapię. Pomagają zagubionym ofiarom zachodniej cywilizacji pogodzić się ze sobą i uznać własny los. Rdzenność jako terapia pozwala każdemu doświadczyć wyłącznie siebie. Turyści niewiele dowiadują się podczas tych performansów o samych Balijczykach. Warto jednak dodać, że sami Balijczycy w przypadku chorób psychicznych czy zaburzeń kognitywnych wciąż częściej szukają pomocy u baliana niż w nowoczesnym szpitalu. Dowiedli tego balijscy naukowcy w artykule *Balines Traditional Treatment (balian) in patients with mental diorders* (Muryaniet al., 2018).

Ubogi Madagaskar ukrywa pustkę swej rdzenności za skomplikowanym systemem zakazów — *fady*. Podróż przez wyspę była dla mnie przeżyciem traumatycznym. Skrajnie biedni ludzi zjedli już prawie wszystkie lemury i wycięli większość lasów. Węgiel drzewny to jedyne źródło dochodu tysięcy Malgaszy. Brudni i wygłodzeni pchają po drogach swe przeładowane wozy. W drogim hotelu spotkałem europejskich architektów, u których niewielka garstka zamożnych Malgaszy zamawia projekty luksusowych willi. Niewiele łączy tych ludzi z biednymi dziećmi lepiącymi cegły z gliny czy ich rodzicami wypalającymi węgiel drzewny.

Asmaci na Nowej Gwinei ledwo przetrwali. W latach 60. XX wieku światowe mocarstwa przekazały ich ziemie Indonezji. Islamski rząd natychmiast rozpoczął pacyfikację „dzikich" Asmatów. Uratowali ich misjonarze. Odkryli, że obrzędy Asmatów i tworzone przez nich obiekty liturgiczne można sprzedawać jako dzieła sztuki. Antropolożka Astrid de Hontheim kompetentnie zrekonstruowała „nawrócenie Asmatów" w monografii *Chasseurs de diables et collecteurs d'art. Tentatives de conversion des Asmat par les missionnaires pionniers protestants et catholiques* (2008). Asmaci z pogardzanych „ludojadów" przemienili się w dochodowych artystów. Przypłacili za to drogo — rdzenność, zamieniona w produkt rynkowy, oderwała się od ich własnego życia i stała się performansem dla turystów.

## RDZENNY TRANSHUMANIZM

Hipoteza performatywnej rdzenności wpisuje się w ideę transhumanizmu. Niemiecki filozof, Stefan Lorenz Sorgner, w książce dowodzi *We Have Always Been Cyborgs. Digital Data, Gene, and an Ethics of Transhumanism* (2023), że od dawna wszyscy jesteśmy cyborgami — ludy rdzenne również. Sorgner postuluje radykalną rewizję antropologii. „Cyborg" to etymologicznie „organizm

sterowany". Takie sterowanie rozpoczyna się wraz z nabyciem języka. To rodzaj technologii przekazywanej nam przez rodziców i środowisko. Potem powiększamy nasze kompetencje ucząc się matematyki czy chemii w szkole. Filozof sprzeciwia się dualistycznej tradycji uznającej język za dar Boga czy traktującej język jako byt niematerialny, duchowy, dołączany do ciała. Język to zdolność nabyta cieleśnie, a racjonalność to technologia.

Performatywna rdzenność — w ramach propozycji Sorgnera — jest transhumanizmem „węglowym", w odróżnieniu od „krzemowego", wiązanego z wykorzystaniem algorytmów cyfrowych do tworzenia cyfrowych awatarów czy zapisów prawdziwych osób. Performatywna rdzenność jako transhumanizm wzbogaca człowieka o nowe zdolności, czyli technologie. Język umożliwia człowiekowi sterowanie własnym organizmem i jest jednocześnie zdolnością wcieloną. Sterowanie, jak mówienie, dokonuje się poprzez cielesny performans. Każdy z opisanych przeze mnie przykładów był takim performansem. Słowa miewały moc performatywu, ingerowały w świat, ale też wzbogacały człowieka o nowe możliwości działania i radykalnie poszerzały definicję tego, co ludzkie, o to, co transludzkie. To, co transludzkie niekoniecznie musi być nową technologią. Może być technologią starą i na nowo przypomnianą.

Technologia nie tylko pomaga nam wykonać sprawnie procedury, ale też zmienia nasze ciało i środowisko, wpływa na nasze zachowania i sposób życia. Rytualny pokłon, akupunktura, system zakazów czy kodyfikacja performansów kulturowych mogą być postrzegane jako technologia transhumanistyczna. Performatywna rdzenność postuluje nową, transhumanistyczną definicję człowieka. Stajemy się sobą w wyniku złożonych i nie zawsze oczywistych performansów, podczas których wcielamy i performujemy nowe technologie, poszerzamy swoje tożsamości o nowe sposoby bycia w świecie. W XXI wieku ponad sto społeczności chce żyć w pełnej izolacji. Wiele krajów oficjalnie przyznaje tym ludom prawo do samostanowienia i zakazuje kontaktowania się z ludźmi, którzy nie życzą sobie tych kontaktów. Te zakazy są oczywiście, szczególnie w Brazylii, ignorowane przez farmerów i poszukiwaczy złota. W ich rdzennych performansach kultura przenika się z naturą.

**Literatura:**

Abels, Monika; Velina Ninkova; 2023, Conducting Fieldwork with San and Hadza (Post-) Hunter-Gatherer Communities in Africa: Regulatory and Ethical Issues, „Trends in Psychol", DOI: https://doi.org/10.1007/s43076-023-00271-1

Gilbert, Elizabeth; 2019, Jedz, módl się i kochaj, przeł. Marta Jabłońska-Majchrzak, Poznań: Dom Wydawniczy REBIS

Hontheim, Astrid de; 2008, Chasseurs de diables et collecteurs d'art. Tentatives de conversion des Asmat par les missionnaires pionniers protestants et catholiques, Bruxelles: Peter Lang

Liebenberg, Louis; 1999, The Art of Tracking. The Origin of Science, Claremont (RPA): David Philip Publishers

Marlowe, Frank; 2010, The Hadza. Hunter-Gatherers of Tanzania, Berkeley: University of California Press

Muryani, Ni Made Sri; Indah Winarni; Setyoadi; 2018, Balinese Traditional Treatment (Balian) in Patients with Mental Disorders, „Belitung Nursing Journal", 4(4), DOI: https://doi.org/10.33546/bnj.425

Ruis-Serna Daniel; 2023, When Forests Run Amok. War and Its Afterlives in Indigenous and Afro-Colombian Territories, Durham: Duke University Press

Schnorr, Stephanie; Marco Candela; Simone Rampelli, et al.; 2014, Gut microbiome of the Hadza hunter-gatherers, „Nat Commun", vol. 5, nr 3654. DOI: https://doi.org/10.1038/ncomms4654

Smits, Samuel; Jeff Leach; Erica Sonnenburg, et al. ; 2017, Seasonal cycling in the gut microbiome of the Hadza hunter-gatherers of Tanzania, „Science". DOI: https://doi.org/10.1126/science.aan4834

Sorgner, Stefan L.; 2013, We Have Always Been Cyborgs. Digital Data, Gene, and an Ethics of Transhumanism, Bristol: University Press

Yeh, Emily T.; 2013, Taming Tibet. Landscape Transformation and the Gift of Chinese Development, Ithaca: Cornell University Press